

ISBN 97883-242-1142-5

Sewer (Ignacy Maciejowski)

MATKA

**universitas**

Sewer (Ignacy Maciejowski)

Matka

© Copyright for Klasyka Mniej Znana  
by Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych  
UNIVERSITAS, Kraków 2010

ISBN 97883-242-1142-5

Szanowny Panie Redaktorze!

Załączam prawdziwą, nawet w drobnych szczegółach, historię matki–włościanki z okolic Podkarpacia.

Przypatrując się bliżej naszym stosunkom na wsi, przyszedłem do przekonania, że najmniej połowa młodzieży włościańskiej, odbierając wyższe niż elementarne wykształcenie w Galicji, zawdzięcza je swym matkom. One to z niepojętą dla nas wiarą – wielką w swej naiwności i prostocie, z której czerpią zadziwiającą siłę i wytrwałość, odejmując sobie od ust, pchają swe dzieci do wiedzy i one też pierwsze bezpośrednio zdobywają od nich kulturę i pierwsze błyski wykształcenia.

Nie wszystkie podobne są do Magdy Porębskiej; nie wszystkie umieją czytać; nie wszystkie mogły rozwijać swój umysł na Szekspirze i Słowackim, lecz za to wszystkim dany jest ten wielki rozpęd i ta niepoohamowana potrzeba zdobywania wiedzy dla swych dzieci, a z nimi i dla siebie.

Cześć naszym matkom!

W czasach pierwotnej kultury kapłanki i prorokinie zachowywały i dziś podtrzymują znicz miłości i światła. Twórczynie altruizmu pierwiastek ten, bezwiednie i prymitywnie ograniczony na dzieci, rozwijają z siłą i energią, wytwarzając pierwsze ogniwa łańcucha, kończącego się miłością ludzkości.

Cześć matkom włościankom!

*Sewer*

## I

Słońce czerwono wzeszło, rzucając skośne promienie na północne stoki; w górze musiał być wiatr, bo na wierzchołkach czarny las szumiał głucho. Jasno było, mroźno, lecz przez surową czerwoność słońca markotno. Jak okiem sięgnąć na wielkich płaszczyznach pól – śnieg; na wierzchołkach czarne pasy lasu i gdzieś tam szare punkciki dachów słomianych, ustrojone niebieskawymi kitami dymu, rozrywały przerażającą jednostajność.

Wydeptaną ścieżyną w śniegu posuwał się ciemny szereg malutkich postaci, pnąc się w górę. Widziany z gościńca, podobny był do sznurka wijących się paciorków różańca. Na wzniesieniu stała chata o niebieskawym tle i jasnych oknach. Poza nią stajenka, stodoła i dwa wysokie brogi odskakiwały od białego śniegu.

Drzwi chaty się rozwarły, z progu wychyliła się postać wiejskiej kobiety, w czerwonej chustce na głowie, żółtym o czarnych brzegach serdaczku i niebieskawej spódnicy. Przyłożyła rękę do oczu, spojrzała w stronę wydeptanej ścieżki, wołając:

– Chodźcie, moje dzieci, gotowicie mi zmarznąć, a i słonko gna w górę, że do południa nie ma całych trzech godzin.

Dzieci przyspieszyły kroku. Młodsze na ślizgawicy chwyciły za ręce starsze, łańcuch pomknął raźniej i weselej.

– Ino ostrożnie! – wołała kobieta – jakoś okrutnie ośli-  
zгло, a słonko czerwone, będzie ponowa.

Dzieci wydobyły się na małe, odmiecione obejście i wyprostowały. Czerwone od mrozu twarzyczki wyglądały ciekawie spoza płacht i szarych chuścín, którymi miały pookręcane głowy.

– Do izby, do izby – mówiła kobieta – tam ciepło, za-  
grzejcie się.

Przestępując wysoki próg, dostały się do sionki, strze-  
pały nogi ze śniegu i całując gospodynię w rękę weszły  
przez otwarte drzwi do izby o dwóch oknach i podłodze.  
Na ścianie przed łóżkiem zasłanym pierzyną, przykry-  
tym wzorzystym kilimkiem, wisiały obrazy świętych Pań-  
skich, w środku Częstochowska w złotej koronie. Pod  
oknami rozciągał się stół przez całą prawie długość izby  
i przy nim ława.

Przy ścianie leżała wielka księga, oprawna w czarną  
skórę. Dzieci spoglądały na nią z pewną bojaźnią i czcią.  
Kobieta, usiadłszy na skrzynce, odwiązywała płachty  
i chustki, którymi dzieci były otulone. Elementarze wy-  
padły na podłogę.

– Zagrzejcie się, kości wyprostujcie i do nauki. Musi-  
my wszystko se przepowiedzieć, bo to dziś egzamin.  
Przyjdą matki, może i który rodzic, radzi usłyszeć, co  
umiecie. Pamiętajcie, żebyście mi nie zrobili wstydu.

Dzieci siadły na ławie, porozkładały na stole elemen-  
tarze; zaczęła się nauka.

Pierwszy wystąpił Niedźwiecki, czytał płynnie i rów-  
no. Drudzy powtarzali za nim szeptem, wodząc po ele-  
mentarzu wskazówkami. Po Walku Niedźwieckim  
przyszła kolej na Zośkę Potoczkównę, najlepszą uczen-  
nicę. Czytała płynniej i szybciej od Walka, za co chłopiec  
rad by ją wytłuc z zazdrości, lecz nie śmiał.

Kolejno szło czytanie z jednakową prawie wprawą,  
dzieci umiały niemal na pamięć elementarz. Zaledwo tro-  
je najmłodszych sylabizowało.

Kobieta wzięła spod ściany wielką księgę. Zamykana była na żelazne klamry. Dzieci z pewną obawą tajemniczej czci i ciekawości patrzyły na nią.

– To są – mówiła – *Żywoty świętych* księdza Piotra Skargi, spisane w wielkiej mądrości i gorącym nabożeństwie. Księga stara, w rodzinie mojej już mieszka pono od dwustu lat. Cudem przyszła, cudem ostaje. Dużo razy była ona w ogniu, zawsze ocalała. Prawie że sama święta, tyle w niej światła i świętości. Elementarz umiecie, to teraz z niej będziecie czytały.

Klamry przy pociśnięciu odskoczyły, księga się rozwarła na życiu świętego Stanisława.

Posunęła książkę Walkowi.

– Czytaj – rzekła – żywot męczennika i patrona ziemi krakowskiej, zabitego pod Krakowem na Skalce.

Chłopak wstał, pocałował księgę jak Biblię i zaczął czytać. Z początku ze wzruszenia i szacunku szło mu chropawo, zaczynał się, lecz niezadługo oswoił się z drukiem i pomykał śmiało. Dzieci słuchały, słuchała i kobieta, chociaż umiała na pamięć, tych silnych zdań, twardych okresów, wielkich porównań, wypowiedzianych mową zbliżoną do mowy ludu. Walek się zmęczył, cudowną księgę przesunęła do siebie Zośka i dalej z wielkich liter czytała. Dzieciom z tych czarów i ciekawości rozwarły się usta; zasluchane, zapatrzone w księgę, siedziały nieruchome.

– Idą matki – szepnęła gospodyni, książkę zamknęła na klamry i odsunęła pod okno. – Naprzód elementarze!

Wybiegła, stając na ścieżce obejścia.

– Witajcie – wołała – a to dziś wielki dzień, ho, ho, patrzcie, jest i Rakoczowa, Niedźwiecka, Wielowska i Michalczewska; to już nikogo nie brakuje. Chodźcie, chodźcie, spoczniecie, stroma góra, nie ma co mówić.

Matki zaczęły sapać i wzdychać. Gospodyni przypała do Rakoczyny, ucałowały się, ujęła ją pod ramię i poprowadziła.

W izbie pozdejmowały kozuszki, przywitały się z kumą, bo choć była uboższa od nich, ale z wielkiego rodu Smerczyńskich, za chłopem Porębskim, słynąca rozumem do wszelkiej porady na wszelakie dolegliwości i wielką wymową.

Każda z kobiet kładła na łóżko zapłatę za naukę jej dziecka. Garniec grochu, woreczek krup, garnuszek masy, serek, faseczkę bryndzy. Potem całowały się z gospodynią, która mówiła wzruszona cicho:

– Bóg zapłać! – Z szafki wyjęła przygotowaną flaszkę wódki, piły po kolei, przegryzając jarmarczną kukielką.

Zaczął się egzamin. Kobiety usadowiły się, gdzie która mogła. Na dany znak dzieci powstały, przeżegnały się, odmawiając głośno pacierz, a zaraz potem zaczęło się czytanie z elementarza. Szło szybko i głośno. Matki wytrzeszczały oczy, wzruszając radośnie głowami.

Na zakończenie Porębska przysunęła wielką czarną księgę przed Walka. Kobiety z uszanowania przed tajemniczą świętością powstały. Klamry odskoczyły, kobieta otworzyła książkę na żywocie świętego Stanisława; matki zaparły oddech, słuchając.

Chłopiec czytał płynnie i wyraźnie, po nim Zośka. Ciekawa historia brała za serca, wypełniając umysły nadprzyrodzonymi fantazjami. Świętość stawała przed nimi, otwierały ją ich dzieci i tajemnice czarnej księgi odchylały.

– Nie próżnowaliśmy – rzekła z pewną dumą Porębska, widząc zachwyty kobiet. – Dostyc na dziś, dzieci, wracajcie do domu, a przychodźcie w poniedziałek, jutro lecę do chłopców, w niedzielę na noc wrócę.

– A bójcie się Boga, siedm opętanych mil na taki mróz, to i wietrzyisko się zerwie.

Matki ubierały dzieci na drogę, tymczasem Porębska mówiła wesoło:

– Nic mi się nie stanie, radość będzie mnie gnać, a tęsknica popychać. – Nie lecę to do własnych dzieciek?...

Już się obraca na trzeci miesiąc, jakem ich nie widziała. A może one tam głód mra? Biedaki, ani to dobrze odziane, ani na noc okryte, księża gnają do nauki ażę strach.

– Bo i po co dwóch pchać do szkoły? Za ciężko na was od razu dwóch – odezwała się Rakoczyna.

Porebska, wystraszona, spojrziała się przez okno, odechnęła.

– Dobrze, że mój nie słyszał. A laczegóż to jeden ma wszystko wiedzieć, a drugi nic? Laczego światłość ma na jednego splywać, a drugiemu skapić, drugiego mają ciemności ogarniać. Zapracuję się, ręce pourabiam, nogi pochodzę, a dam naukę obydwom.

– Dwóch chcecie mieć księżmi?...

– A choćby dziesięciu, a niech będą, czym ino chcą, niech wrócą do chałupy, na zagon, ale niech rozum mają i tę wielką świadomość rzeczy boskich i ludzkich, a światłość wiekuista niechaj ich nie opuszcza za życia i po śmierci!

– Amen – powiedziały kobiety, pochylając głowy.

Dzieci odziane wybiegły, staczając się po ścieżce wśród wrzawy i wesołości na dół do gościńca.

– A niechże Bóg broni, abyśmy wam radzili chłopców z konwiktu odbierać. Tyło się tak bez to mówi, czy uradzicie na dwóch. Harujecie i dzieci uczycie, ale czy to wszystko wystarczy?...

– Póki starczy – odpowiedziała. – Nie jestem ci taka już stara, na jesień obróciło mi się na trzydziesty rok. Bóg mi daje zdrowie, trzeźwość, to i jakoś wierzę, że mnie Najświętsza Panienka nie opuści.

Położyła rękę na czarno oprawnej księdze.

– Gdybyście wiedziały, jakie się cuda dzieją na świecie, jak malutcy, uzbrojeni w łaskę boską, do wielkich rzeczy wąskimi ścieżynami dochodzą. O! moje kochane kumy, pobłogosławiłybyście mnie na drogę i powiedziały: idź, bo spełniasz Jego wolę świętą!

Czuć było w głosie Porębskiej wielką wiarę, a w mo-  
wie jej czarną księgę, w którą się wczytywała. Kobiety  
siłę księgi odczuły i chórem powiedziały:

– Błogosławimy!...

Najbogatsza, Rakoczyna, dodała:

– I co będziemy mogli, pomożemy.

– Co się da – poświadczły kumy, a Michalczewska  
zakończyła:

– Uczycie nam dzieci galanto, że nie ma żadnej przy-  
gany. Do kościoła z książkami chodzą, znają dobrze pa-  
cierze, że nie będzie żadnego frasunku przy pierwszej  
spowiedzi, a co ważniejsza, przy zapowiedziach. Jegomość  
nie będzie się gniewał, ciskał, odgrażał, że ślubu nie da.  
Za to my przecie musimy co nieco pamiętać o waszych  
chłopcach.

– Bóg, który wydobył Jonasza z paszczy wieloryba,  
uratuje i moich chłopaków. A że cuda często robi przez  
dobrych ludzi, to dziękuję wam, kumy, za to, że jesteście  
świętej Jego woli opatrnością.

Kumy uczuły się dumne, że zostały opatrnością świę-  
tej Jego woli.

– A kiedyż lećcie do dziecków? – spytała Rakoczyna.

– Choćby dziś, zawinę w tobolek, coście przyniosły  
za naukę, i pognam. Rada bym tam już być. Cięgiem mi  
się śnią bledziuscy ze świecącymi z głodu ślepkami.  
Antek wytrzyma, twardy jak rzemień, ale Władek do-  
piero ma na dziewiąty rok, delikatne jakby jakie pań-  
skie dziecko.

– I po cóżeście tak rychło chudziaka z domu wygnali?

– Jeden przy drugim, obom przecie raźniej razem.  
Starszy kończy szkołę na przyszły rok, a młodszego go-  
spodarz nie chciałby puścić samego.

– Może i gospodarz mają racjom, że choć jednego chcą  
zostawić na zagonie i oddać mu gospodarstwo. A któż mu  
będzie na starość pomagał?

Porębska się obejrzała trwożliwie.

– Cicho, cicho mojeściewy, boję się, żeby nie usłyszał, bo znowu gotowa obraza boska. Będzie miał przecie zięcia...

– Syna odeгна z roli dla zięcia? – zawołała Michalczewska.

– Cicho, bójcie się Boga! Jeśli zechce który z synów wrócić na rolę, to go przecie nikt nie będzie odganiał; niech wróci na ojcowiznę, ale z rozumem, ze świadomością.

– Wróciliby z miasta, od urzędu, od państwa, od dobrego jada?

– Ho, ho, i tu może przecie jeść galanto.

– Może... co by nie, ale Podhale biedne, ziemia zimna jak lód.

– Dajcie pokój, dość czasu – mówiła szybko Porębska chcąc urwać rozmowę, jak to czynią wszyscy idealisci, których trzeźwi usiłują oblać zimną wodą. – Tymczasem niech się uczą na chwałę boską i pociechę ludzką.

Zaczęła układać przyniesione podarki za naukę. Gospodynie pożegnały się i odeszły. Zostały Rakoczyna i Michalczewska.

– Nie gniewajcie się, moja kumo – odezwała się Rakoczyna – przecie ludzie ludźmi, muszą powiedzieć to, co myślą i jak im się zdaje, że lepiej...

– Ale niech się nie wtrącają do moich dzieci. Matka najlepiej wie, co im potrzeba.

– Prawda, ale widzicie, bo...

– Życie oddam, siebie steram, zagłodzę się, a dzieciskom nie odmówię tej manny, co z nieba płynie, rozumiecie?

– Rozumiemy! ojej!

– Matka Boska powiedziała mi: czyn, co ja ci rozkazuję, i ja, biedna służebnica, czynię Jej wolę. I czegoż ludziska chcą jeszcze...

– Niczego.

Porębska odwróciła się szybko.

– Drugich elementarzy potrzeba dla waszych dzieci, te umieją na pamięć.

- A są drugie?...
- Na każdą klasę nowy. Kupiłabym w Limanowy, gdybyście dali, swoich nie mam.
- Ja daję la swojego chłopaka – rzekła Rakoczyna.
- A ja la Zośki – i Michalczewska położyła na stole pięć szóstek, za nią Rakoczyna.
- Tyło targujcie, moja kumo, o grajcar dziś trudniej, aniżeli dawniej o złotówkę...
- Nie uczcie mnie tego, bom biedniejsza od was.
- Zagarnęła ze stołu dziesięć szóstek i rozśmiała się pocziwie, co ośmieliło kobiety.
- Moja kumosiu, chciałyśmy się jeszcze poradzić.
- Mówcie – przerwała.
- Drze ci mnie po kościach na każdą zmianę, że se rady dać nie mogę – zaczęła Rakoczyna.
- A mnie po plecach. Zobaczcie ino do czarnej księgi, może co wyczytacie na te dolegliwości.
- Porebska nacisnęła klamry, odskoczyły. Na ostatnich ośmiu wklejonych kartach były wypisane rozliczne choroby i skuteczne na nie lekarstwa.
- Zaraz, zaraz – mówiła wodząc palcem po kartach papieru.
- Darcia – wyczytała – jest i lekarstwo. Naprzód bołące ciało wytrzeć mrówczanym spirytusem, a potem smarować kocim sadłem, a gdyby tego nie było, to i psim poskutkuje, tylko dłużej trzeć.
- A skądże wziąć i jednego, i drugiego?
- Od czegoż hapteki?
- Moja kumosiu, kupcież la mnie.
- I la mnie, bardzo was proszę. Życie się przykrzy z tym bólem.
- Laczego nie; w Limanowej kupię i przyniosę.
- Byle ino pomogło!
- Chyba ta księga nie kłamie. A jeśli kłamie, to i ja z nią. Cóż na to poradzić?
- No, no, ino tak się mówi, bo wszystko w rękę boskim.

Kумы wydobyły z kieszeni serdaków gałganki, rozwinęły je i radząc, szepcząc, licząc, ułożyły na stole dziesięć szóstek.

– Dajemy wam całego papierka, po połowie na każdą. Tyło kupcie koniecznie kociego, bo ino do kociego mam przekonanie.

– Sadła wszystkie są w haptece.

– Prawda, no to bądźcie zdrowi, krzepcie się, idźcie z Bogiem, chłopaków pozdrówcie i wracajcie zdrowi, byle nie z próżnymi rękoma.

Porębska pożegnała kумы, odprowadziła przez obejście do bramki i wracając, wpadła do stajenki.

– Maryś, gdzieżeś?

– Tu – odezwał się cienki głosik trzynastoletniej dziewczyny, zatykającej szpary w ścianie mchem.

– Lecę dziś do chłopców do klasztoru, słyszysz?

– Bójcie się Boga, i znowu mnie samiuśką zostawicie z trojgiem bydła i tatusiem. Czyż ja sama uradzę?

– A bo to pierwszy raz zostajesz? Co dzień jesteś starsza i rozumniejsza.

– Ale w zimie pierwszy raz wszystko na mojej głowie. Matusiu, nie uradzę i boję się nieszczęścia.

– Cicho, cicho, nie lamentuj, żeby tatuś nie usłyszał. Gotów mnie jeszcze nie puścić. Zośkę Niedźwiecką ściągnij na noc, to ci pomoże ziemniaków uskrobać i rano było opatrzeć.

– Na jedną noc, a na drugą?...

– Przecie ja muszę lecieć. Chcesz, żeby ci bracia z głodu poumierali?

– Niechże Bóg obrania, ale, matusiu, ludzie mówią, żeście się nie na swoje rzeczy porwali. Chłopcy nie wytrzymają w takiej biedzie, a my skapiejemy. Ludziska mówią, że to dopiero początek, a co będzie dalej?

– A Matka Boska, a święci Pańscy, a słodkie imię Jezus, to nic?

– Żeby ino chcieli pomóc!

– Chcą. Chodź do izby, popatrz, co to gospodynie przyniosły za naukę swoich dzieci; wystarczy do świąt.

– A dalej, matusiu, co?

– Dadzą znowu.

Usiadła na mchu, Maryś przy niej.

– Widzisz, taka już jestem zawzięta i taką ci mam siłę jakby z innego świata, i taką wiarę, że gdyby Pan Bóg nie dał i chłopcy wrócili, czuję, żeby mi serce spękało i z bólu bym padła.

Objęła Marysię w pól i przycisnęła. Pocałowały się.

– No, no, może Matka Boska ulituje się i jakoś pomoże. Bo przecie i rada bym, żeby nasze chłopaki wyszli na ludzi. Może doczekamy, że Antek będzie proboszczem w Porębie? Któż ta wie? Matusia matka proboszcza, a ja jego siostra. Przecie to miło!

– Miło, miło – odpowiedziała roztargniona – będą tym, czym Pan Bóg da, do czego będą mieli ochotę.

– Chłopu jakoś najmilej, kiej księdzem zostanie i wróci na wieś do swoich.

– Skądże to wiesz?

– Tak ludzie mówią, matusiu.

– O tym potem, byle ich przepchać przez szkoły. Ale czym, ale jak? – pomyślała i westchnęła.

Ciarki ją przeszły ze strachu, zerwała się, żeby złe myśli odegnąć.

Odganiać straszne myśli od siebie było dla niej jedynym lekarstwem na biedę, „odganiać je i iść na naprzód” – powtarzała wobec każdej obawy, każdego niepowodzenia.

– Chodźmy do izby. Mech utkasz. Kiedy wrócę, pomogę ci. Pomogą Walek, Rakoczy i Zośka po nauce. Jeszcze mrozów wielkich nie ma.

Zwróciła się do krów.

– Czarnula i Kwiatka, bądźcie zdrowe, chowajcie się dobrze, mleka nie skapcie, a słuchajcie mi Marysi!

Krowy obejrzały się, patrząc żałośnie na matkę i córkę.

– No, no, wróć, nie markoście!